

DUCHOWNY Z PASJĄ



RENATA DĄBROWSKA

Z PROF. DR HAB. WOJCIECHEM BĘBEM
ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA KOZŁOWSKA

Prof. dr hab. Wojciech Bęben urodził się w 1949 r. w Działoszynie w woj. łódzkim. Jest antropologiem i etnologiem, doktoryzował się w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1975-1985, a następnie 1987-1995 wykładał antropologię w The Melanesian Institute for Pastoral and Socio-Economic Service w Goroka w Papui-Nowej Gwinei, w 1991 r. wykładał antropologię i misjologię na Yarra Theological Union w Melbourne w Australii oraz na innych australijskich uniwersytetach. W roku 1996 pracował jako adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, a w latach 1996-1998 jako adiunkt na Uniwersytecie Wrocławskim. Później (1998-2008) wykładał na Uniwersytecie Warszawskim w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej. Dziś pracuje na Uniwersytecie Gdańskim, jest kierownikiem Zakładu Etnologii i Antropologii Kulturowej oraz zastępcą dyrektora Instytutu Archeologii i Etnologii. W Australii i Oceanii spędził 27 lat, do dziś prowadzi badania nad tamtejszą ludnością: jej tradycyjnymi wierzeniami, moralnością, społecznym i kulturowym systemem wartości, filozofią. Zna pięć tubylczych języków z terenu Papui-Nowej Gwinei i trzy języki kreolskie: pidgin english, broken i aboriginal english. Autor wielu artykułów oraz kilku książek: „Aborygeni, pierwsi nomadzi. Życie i kultura”, „Mały świat wokół wulkanu”, „Dzieci kazuara”.

ALEKSANDRA KOZŁOWSKA: Bronisław Malinowski, słynny antropolog badający zwyczaje mieszkańców Wysp Trobrianda, autor głośnego „Życia seksualnego dzikich”, nie miał najlepszego zdania o misjonarzach. Uważał ich za niszczycieli lokalnej kultury, nie znosił za wtłaczanie naszej zachodniej moralności. Ksiądz też był m.in. na Wyspach Trobrianda. Z jakim skutkiem?
Ks. PROF. WOJCIECH BĘBEN: - Do Australii i Oceanii jeżdżę od połowy lat 70., przede wszystkim jako antropolog i religjolog. Badam kulturę tradycyjną, wierzenia. Nie jestem naiwnym, by wierzyć, że zmienię ich tradycję, zwyczaje. Nie taka jest rola misjonarza.

Nie? A jaka?
- Misjonarz oprócz pracy misyjnej i pomocy materialnej ma być buforem między lokalną kulturą a cywilizacją zachodnią. Czasem tu, w Polsce, ludzie mnie pytają: „A ilu ich tam ksiądz ochrzcił?”. - A niewielu - odpowiadam. - Kilku, szczególnie jeśli mam na uwadze Aborygenów. „To po co ksiądz tam jeździ?” - reagują z oburzeniem. Według mnie misjonarz powinien zajmować się przede wszystkim ochronieniem tamtych tradycji, godności tych ludzi, a nie pochopnym ich przekształcaniem.
Chronieniem wiary w duchy? Czarów, magii?

- Ich systemu wartości! Bez swoich wierzeń ci ludzie nie przetrwają. Wielu tych, co szybko zachłysnęło się kulturą zachodnią, wylądowało na ulicach jako żebracy, alkoholicy czy prostytutki. My nie mamy do czynienia z poganami, oni mają wiarę w jednego naczelnego Boga czy ducha, składają ofiary. Na swój sposób wierzą głębiej od nas, co nie znaczy, że nie potrzebują poznać Chrystusa.

Sądziłam, że zadaniem misjonarzy jest szerzenie chrześcijaństwa.

- Tak było w latach 60. Dziś ktoś z takim podejściem musiałby być buldożerem. W Papui-Nowej Gwinei chrześcijaństwo nieprędko wyprze lokalne wierzenia. Chrześcijaństwo i tubylcze tradycje bieżą i będą bieżą dwutorowo, równolegle. Szaman mówił do mnie: „Idziemy. Ty leczysz swoje choroby, ja swoje”. I tak było - on interweniował tam, gdzie uważał, że sprawcami niedomagania są duchy, ja pomagałem tam, gdzie mogły się przydać nasze, zachodnie leki. I to działało.

Ma ksiądz rację z tą dwutorowością. Mimo wysiłków misjonarzy, którzy na Wyspach Trobrianda pojawili się pod koniec XIX wieku, do dziś życie seksualne tamtejszej społeczności, zwłaszcza młodzieży, jest bardzo swobodne, nawet jak na nasze singielskie standardy. Reporterka Aleksandra Gumowska w świetnej książce „Seks, betel i czary. Życie seksualne dzikich sto lat później” konstatuje, że znalezienie tam 14-letniej dziewicy jest praktycznie niemożliwe. Równie dobrze ma się wiara w magię i lokalne bóstwa. Ale jednocześnie stopniowo szerzy się zachodni materializm...

- Nasza cywilizacja dociera wszędzie; ludzi, którzy jej jeszcze nie znają, trzeba przed nią chronić, trzeba ją im tłumaczyć. Są wobec niej bezbronni, ona niszczy ich tradycyjny system wartości, podkopuje tożsamość.

Gumowska wspomina m.in. o modzie na blaszane dachy w wioskach Kiriwiny, jednej z Wysp Trobrianda. Blacha zastępuje tradycyjne liście i jest wyznacznikiem statusu, mimo że w upał straszliwie się rozgrzewa, a w deszcz okrutnie bębni. Każdy jednak chce mieć taki dach, bo inaczej znajomi patrzą z politowaniem jak na biedaka i nieudacznika.

- To prawda. Dzieje się tak m.in. za sprawą turystów. Lokalna tradycja się komercjalizuje, tradycyjne tańce czy święta, takie jak słynny Sing-Sing, coraz częściej robi się pod gości z Zachodu.

Ale tradycyjny system wartości nadal się trzyma. W nim najważniejsza jest rodzina, wspólnota, klan. I wymiana. Nigdy nie dostaje się niczego za darmo, rewanż może być nawet symboliczny, ale musi być.

Reporterka opisuje dzielenie się jako główny sposób na budowanie relacji. Zwyczajowym obowiązkiem każdego, komu

Misjonarz nie może być buldożerem

Do Aborygenów w Australii od dawna jeżdżę jak do swoich. Słowny antropolog Claude Lévi-Strauss mówił, że Aborygeni są arystokracją ducha. Tego nie udało się zniszczyć, bo to jest w ich wnętrzu

obrodzą yamy albo kokosy, albo ma pracę w mieście, albo jest wodzem, jest dzielenie się ze społecznością. Rodzina bez najmniejszych oporów dzwoni (bo komórki dotarły już i na Wyspy Trobrianda) do krewnego, któremu się dobrze wiedzie z informacją - bo nawet nie prosią - „Potrzebna jest plastikowa miska”, „Trzeba wyprawić stypę”, „Syn się żeni, potrzebujemy pieniędzy na wesele” itp. Ten, kto się dzieli, kto wiele rozdaje, jest wart szacunku, jest po prostu człowiekiem.

- Tak. Paradoksalnie dlatego niektóre papuaskie dziewczęta, które poszły do zakonu, zostają prostytutkami. Zakon to przecież ich nowa rodzina, ale ciągle słyszą tam o ubóstwie, nie mają więc czym się dzielić, a to oznacza usytuowanie się poza rodziną, klanem czy plemieniem. Opuszczając zakon, nie mogą wrócić do wioski, bo nie dzieliły się, więc często lądują na ulicy.

Papuasi nigdy nie będą katolikami takimi jak my i głupotą jest tego oczekiwać. Opowiadałem kiedyś komuś, że moim najlepszym katolikiem na papuaskiej wyspie Biem jest wódz. „Ale on ma przecież trzy żony!”. Na co ja: - Gdybym teraz ogłosił, że musi mieć jedną żonę, byłby skończony. On wie, że słońce ma trzy żony, a on jako wódz jest z tym słońcem powiązany, więc też musi mieć trzy żony. Gdyby ich nie miał, straciłby poważanie wśród swoich ludzi, stałby się nikim.

Adwentyści Dnia Siódmego, którzy na Papui też prowadzą misje, nauczają Ewangelii bardzo dosłownie, odwołując się często do Starego Testamentu. Mówią np., że świnia jest nieczysta. A tymczasem tam jedna trzecia ludności wierzy, że ich przodkiem była świnia. Jak więc można im mówić, że przodkowie są nieczysti?

Pracowałem w Instytucie Melanezyjskim, ucząc przybyszających tam kandydatów na misjonarzy, jak nie niszczyć

Misjonarz powinien zajmować się przede wszystkim ochronieniem tamtych tradycji, godności ludzi, a nie pochopnym ich przekształcaniem

czy lokalnych tradycji. Dla wielu księży zgłaszających się na misjonarzy taki wyjazd to przygoda, brakuje im jednak przygotowania. A wejść w tubylczą kulturę jest bardzo trudno. To nie jest sprawa na krótki pobyt, a tak jest często w przypadku misjonarzy. Tu trzeba zanurzenia się w społeczność, przyjęcia ich punktu widzenia.

Malinowski tak właśnie robił. Był pionierem badań bezoprednich, terenowych. Mimo to cały czas czuł się tam obcym.

- Mnie w pełni zaakceptowali po tym, jak podczas jednego ze spotkań w moim domu do wnętrza wpadł nagle koliber i usiadł na półce za mną. Poruszeni ludzie spytali, czy mój ojciec żyje. Odparłem, że nie. Na co oni, że tak myśleli, bo on właśnie tu wleciał pod postacią tego kolibra. A skoro tu przyszedł, to trzeba mu wyprawić święto! I tak też zrobili, nawet grób chcieli mu wykopać. Wtedy poczułem, że jestem ich częścią.

Z czasem powierzali mi swoje sekrety, zdradzali przeróżne zaklęcia. Patrząc z ich punktu widzenia, z taką wiedzą mógłbym wybić pół wyspy: spowodować huragan, ściągnąć burze, wywołać ogromne fale.

Na Biem, gdzie znalazłem się jako pierwszy biały etnolog, zostałem nawet wodzem.

Wodzem?!

- Tak. Przez przypadek. Którejś nocy przyszedł do mnie wódz i mówi, że ma dla mnie świnie. Wiedziałem już, że tam nie ma nic za darmo, świnia to element wymiany. Spytałem więc, co mam zrobić. „Sprawić, że moja córka umrze” - odpowiada wódz. Trzy lata tam żyłem, a o jego córce nie miałem pojęcia. „Chodź” - mówi wódz. Zostawiliśmy więc świnie na werandzie i poszliśmy do domu wodza. Wchodzimy, jest jego córka. Nigdy wcześniej nie widziałem tak mocno zdeformowanej istoty ludzkiej. W Papui kalekie dzieci są zabijane, nie przeżyłyby w tamtych warunkach. „Ja niedługo umrę, ona beze mnie nie przeżyje. Musisz sprawić, że ona umrze, bo nie ma nikogo, kto się nią zajmie” - wyjaśnił wódz.

Wierzył, że przez to, że zna część imienia istoty najwyższej, ma moc, z której nie potrafi się oczyścić przed zbliżeniem się do żony. Skutek był taki, że żona rodziła mu kalekie dzieci. Gdyby jego syn przejął po nim wodzostwo, moc przeszłaby na niego i też rozdziłoby mu się kalekie potomstwo. Dlatego zaproponował, żebym tu ja, osoba żyjąca w celibacie, został wodzem.

I ksiądz się zgodził.

- Tak. Co ciekawe, on wkrótce rzeczywiście umarł. Pamiętam, że było to w środę, jego kaleka córka zmarła zaś w czwartek.

Do Aborygenów w Australii od dawna jeżdżę jak do swoich. Jestem tam co roku, na kilka miesięcy. Nie muszę wtedy niczego udawać, mogę czasem zabluznić, mogę powie-

dzieć, że jestem zajęty, mogę chodzić tylko w krótkich spodniach, bez koszuli.

Owszem, pierwszych kilka dni po przyjeździe zawsze zajmuję mi wejście na nowo do wspólnoty. Obserwują mnie, patrzą, czy się zmieniłem, testują: „Zjesz kawałek nietope-rza?”, „Napijiesz się wody tej, co my pijemy, z kałuży?”

Czego możemy się od nich nauczyć?

- To ludzie, których cały czas łączą silne więzy, tam nikt nie jest „samotną wyspą”, żeby przywołać słowa Thomasa Mertona. Tam normalne jest podejście: „Prawie wszyscy się już ochrztili, to ja też. Muszę być przecież we wspólnocie”. Tam być człowiekiem, to żyć we wspólnocie. To żyć w sferze sacrum. W naszym zindywidualizowanym świecie to rzadkość. Ale czy jesteśmy gotowi nauczyć się czegoś od nich? Musielibyśmy zacząć patrzeć na nich jak na równych sobie ludzi, odrzucić postawę wielkiego, białego człowieka. **Nie idealizuje ksiądz trochę tych społeczności? Nie patrzy na nich jak na szlachetnych dzikusów, niczym Jean-Jacques Rousseau?**

- Nie, absolutnie. Oni też zabijają, kradną, gwałcą. Ale jednocześnie sacrum jest cały czas niezwykle mocno obecne w ich życiu. Mają swoje święte miejsca, święte rytuały. Gdy będąc wśród Aborygenów, odprawiałem mszę w kościele, przychodziło siedem-osiem osób. Gdy postawiłem krzyż na pustyni, przyszła cała wieś. Oczyszczenie poprzez spowiedź do nich nie przemawiało, ale rytuał oczyszczenia poprzez dym z ogniska jak najbardziej.

Misjonarz musi wyszukiwać elementy ich systemu wartości wspólne z naszym. Dlatego, gdy przygotowywałem kazanie, Chrystusa przedstawiałem jako Papuasa. Nie ma innej drogi, nie mogę pozbawiać ich tożsamości. To zrobiono Aborygenom i do dziś ponoszą tego skutki.

Aborygenom odebrano ziemię, która zawsze była dla nich świętością. Nie potrafią bez niej żyć. Mieszkają w miastach, w dzielnicach nędzy. Do 1967 r. nie mieli praw wyborczych, władze Australii traktowały ich jak przedstawicieli lokalnej fauny. Do dziś nie mają praw do ziemi, do dziś australijski rząd nie przeprosił za masowe odbieranie im dzieci. Sami o sobie mówią: Pokolenie, któremu odebrano tożsamość. Znałem jedną staruszkę Aborygenkę, mieszkała w domu starców. Półtora roku mi zajęło, żeby się do mnie odezwała. To nie był problem języka, bo go znałem, tylko problem jej zamknięcia się w sobie. Dopiero gdy wyjeżdżałem do Polski i powiedziałem jej, że jadę do mamy, powiedziała: „A ja nie znam mojej mamy”.

W Grafton natomiast spotkałem kobietę, która jako dziecko, pod koniec lat 40., przeżyła masakrę Aborygenów. Została adoptowana przez białych Australijczyków, całkowicie odcięta od swojej kultury. Mając 14-15 lat, poczuła, że jakaś dawna pieśń do niej wraca w pamięci. Nawet gdy była pod wpływem narkotyków, ta pieśń krążyła jej w głowie. W końcu ruszyła w drogę. Cały czas śpiewając, doszła z Newcastle do Grafton, czyli ok. 300 km. Czula, że pieśń prowadzi ją do jakiegoś domu. Zatrzymała się tam, z domu wyszedł mężczyzna śpiewający tę samą pieśń. Okazało się, że to jej wuj. W ten sposób odnalazła rodzinę. Dziś pomaga młodym Aborygenom odnaleźć swoją tożsamość.

To chyba jakiś mit?

- Nie, prawdziwa historia. Sławny antropolog Claude Lévi-Strauss mówił, że Aborygeni są arystokracją ducha. I tak jest, oni cały czas mają swój świat duchowy. Tęgo nie udało się zniszczyć, bo to jest w ich wnętrzu. Z ludów, które poznałem, Aborygeni najbardziej mnie pociągają.

Ma ksiądz w swych zbiorach m.in. obrazy Aborygenów. Obok masek i rzeźb staną się one częścią Muzeum Australii i Oceanii, które zamierza uruchomić Uniwersytet Gdański.

- Tak. Główna część moich zbiorów już znajduje się na UG - opracowujemy właśnie poszczególne egzemplarze. Otwarcie muzeum planowane jest w październiku tego roku. W większości znajdują się w nim eksponaty z Papui-Nowej Gwinei, Melanezji i Australii, będą to maski, rzeźby, obrazy. W tym właśnie wspomniane obrazy Aborygenów - malowane przez więźniów. Aborygeni nie potrafią żyć w niewoli, w samotności. Zamknięci popielniają samobójstwo, odwieść ich od tego jest właściwie niemożliwe. Dwa lata temu dostałem pozwolenie na badania Aborygenów przebywających w więzieniu w Grafton, to miasto między Sydney a Brisbane. Za co tam trafiają? Za roboje, kradzieże albo picie. Nie mają poczucia, że robią coś złego, kradną obcemu, nie Aborygenowi. Więzienie dla Aborygena oznacza utratę wszystkiego, co miał - rozpada mu się rodzina, żona odchodzi do innego, bo sama sobie nie poradzi.

Maski, które ksiądz zbiera, nie są dobrze widziane w domu katolika. Pamiętam kazanie pewnego egzorcysty w kościele na Żabiance. Z potępieniem mówił o wszelkich przedmiotach, symbolach i zjawiskach związanych z innymi kulturami, w tym o jodze, medytacji czy sztukach walki Wschodu. Także afrykańskie maski wymienił jako zło. A ksiądz ma ich tyle u siebie w domu.

- Maski? Jakie zło? Przecież to nośniki sacrum. W nich nie ma złych duchów. A rzeźby? Proszę spojrzeć - tu jest przedstawienie płodności, tu macierzyństwa, tu matki-ziemi. Gdzie w tym zło? Niestety, częściej szukamy tego, co dzieli niż tego, co łączy. ●